Józef Czechowicz

Poemat o mieście Lublinie

Wydawnictwo Lubelskie

W 25
ROCZNICĘ
ŚMIERCI
POETY

józef
czechowicz

poemat o mieście lublinie

wstęp i redakcja
roman rosiak

Zdjęcia
JÓZEF CZECHOWICZ

Ilustracja muzyczna
ALEKSANDER BRYK

Opracowanie graficzne
ZBIGNIEW MAREK

Obwoluta
KRZYSZTOF KURZĄTKOWSKI

Ekslibris
JULIUSZ KURZĄTKOWSKI

MIASTO

RODZINNE...

DO CIEBIE

ZWRACAM SIĘ

PAMIĘCIĄ...

Rzadko zdarza się, by twórczość poety zamykała się tak dokładnie w ramach jednej epoki, jak to ma miejsce w przypadku Józefa Czechowicza. Pierwsze jego utwory powstały tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości i noszą datę 1922 roku — ostatnie zaś przyniósł rok 1939. Dlatego też autor „nuty człowieczej" jest chyba najbardziej reprezentatywnym poetą dwudziestolecia międzywojennego.

Jak wyjątkowe jest miejsce poety w literaturze jego czasów, tak wyjątkowy był stosunek do rodzinnego miasta — Lublina. Autor „ballady z tamtej strony" z pewnością nie był pierwszym i ostatnim literatem, którego szlak prowadził z prowincji do Warszawy. Trzeba jednakże podkreślić fakt, że nawet w okresie kilkuletniego pobytu w stolicy nie zerwał kontaktów z Lublinem, wprost przeciwnie, jeszcze bardziej je podkreślał.

Z miastem Biernata i Klonowica Czechowicz był związany dokładnie od urodzin aż do śmierci. Tutaj w dniu 15 marca 1903 roku, przy ulicy Kapucyńskiej 3, w suterenie, przyszedł na świat jako syn woźnego i praczki. Rodzice jego pochodzili z Krzczonowa i po przeniesieniu się do Lublina żyli w bardzo ciężkich warunkach materialnych. Dlatego też do 5-osobowej rodziny Czechowiczów często zaglądała bieda. Starszy brat poety, Stanisław, zmarł na gruźlicę, mając zaledwie 26 lat, siostra zaś, Kazimiera, zginęła w czasie ostatniej wojny. Przyszły poeta od roku 1913 uczęszczał do elementarnej szkoły rosyjskiej, w czerwcu zaś 1917 roku ukończył Pierwszą 7-klasową Szkołę Miejską (męską) w Lublinie. Następne etapy kształcenia się to Seminarium Nauczycielskie, Wyższy Kurs Nauczycielski w Lublinie oraz studia w Instytucie Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Jako młody absolwent otrzymał Czechowicz pracę w szkole jezuickiej w Słobódce, później zaś we Włodzimierzu. Pracował też w szkole specjalnej dla dzieci niedorozwiniętych umysłowo w Lublinie, jako nauczyciel, a później kierownik. Czechowicz szybko jednak zrezygnował z pedagogiki na rzecz literatury. Już w Słobódce powstały jego pierwsze liryki a także utwory prozą. Poeta nawiązał kontakty z literatami lubelskimi: Konradem Bielskim, Wacławem Gralewskim i — nieco później — Stanisławem Grędzińskim. Przyjaźń i współpraca poetów wydała plon w postaci czasopisma „Reflektor". Tu właśnie w roku 1923 Czechowicz wydrukował swoją prozę poetycką pt. „Opowieść o papierowej koronie", jak również pierwsze utwory liryczne, między innymi jeden z najlepszych wierszy pt. „Na wsi". Lubelskie lata upływają Czechowiczowi pod znakiem poezji i pracy dziennikarskiej (m. in. w latach 1924—1925 redaguje dodatek literacki do „Przeglądu Lubelsko-Kresowego"). Rodzinnemu miastu zawdzięcza też poeta pierwszy swój tomik pt. „Kamień", wydany w roku 1927 nakładem Biblioteki „Reflektora".

Kiedy Czechowicz przenosił się w roku 1933 do Warszawy, był już autorem trzech tomików i nazwisko jego miało już swoje miejsce w literaturze. W Lublinie pozostała jego matka, z którą utrzymywał stały kontakt, nie mówiąc już o licznych kolegach po piórze. Pracując w Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie otoczył poeta opieką wielu lubelskich literatów. Pomagał im materialnie, ułatwiał druk, sprowadzał do stolicy, szukał pracy. Szczególnie blisko opiekował się Czechowicz grupą poetów mieszkających przy ul. Dobrej 9: Wacławem Mrozowskim, Henrykiem Domińskim, Bronisławem Ludwikiem Michalskim i innymi twórcami z Lubelszczyzny. Na wieść o wybuchu wojny autor „nuty człowieczej"

wyruszył wraz z pracownikami redakcji Polskiego Radia w swoją ostatnią podróż do rodzinnego miasta. Tutaj też w czasie jednego z pierwszych nalotów w dniu 9 września 1939 roku zginął od bomby niemieckiej i pochowany został na lubelskim cmentarzu.

W swoim dorobku poetyckim ogromne przywiązanie do miasta młodości utrwalił w około 50 wierszach. Już w pierwszym tomiku pt. „Kamień" (1927) wydrukował poeta wiersz pt. „We czterech", poświęcony czasom „Reflektora". W następnym tomiku pt. „dzień jak codzień" (1930) spotykamy wspomnienia matki, dzieciństwa w wierszu „jedyna" oraz dwa piękne liryki z cyklu „prowincja noc", dedykowane Lublinowi i Zamościowi. W tomiku „ballada z tamtej strony" (1932) znajduje się wiersz pt. „elegia uśpienia", związany z naszym miastem. Tom „z błyskawicy" (1934) przynosi „autoportret" oraz cztery dalsze liryki z cyklu „prowincja noc" — o Kazimierzu, Krasnymstawie, Puławach i Lublinie. Tomik „nic więcej" (1936) nawiązuje do rodzinnego miasta poety dzięki utworowi „hildur baldur i czas".

Na szczególną uwagę zasługuje bibliofilski tomik pt. „Stare kamienie", wydany w 1934 roku wspólnie z Franciszką Arnsztajnową, który dziś ze względu na niski nakład (125 egz.) jest niewątpliwie przysłowiowym „białym krukiem". Tomik ten został poświęcony wyłącznie Lublinowi, przy czym najbliższe twórcom okazało się Stare Miasto. Czechowicz opublikował w „Starych kamieniach" siedem wierszy: „Lublin z dala", „Księżyc w Rynku", „Muzyka ulicy Złotej", „Ulica Szeroka", „Kościół Świętej Trójcy na Zamku", „Wieniawa" i „Cmentarz Lubelski".

Poza tym wśród rękopisów i utworów porozrzucanych po czasopismach można znaleźć jeszcze wiersze związane z Lublinem, jak np. „Dziecko", „dawniej", „na zamku", „Z kroniki bibliofilów lubelskich", „u moji matusi (gwara wsi młynki pod puławami)" i inne. Nawet wśród wierszy dla dzieci dwa dedykowane są Lubelszczyźnie: „Moja ziemia" i „Zimowe uroki". Ostatnio w papierach po ks. Ludwiku Zalewskim odnaleziono 16 fraszek poety, adresowanych znanym literatom i działaczom kulturalnym naszego miasta: Julianowi Krzyżanowskiemu, Feliksowi Araszkiewiczowi, Konradowi Bielskiemu, Wacławowi Gralewskiemu, Ludwikowi Zalewskiemu i in. Fraszki te zostały w roku 1962 opublikowane przez Wydawnictwo Lubelskie.

Lista utworów Czechowicza związanych z Ziemią Lubelską jest długa a zamyka ją „Poemat o mieście Lublinie". Utwór ten powstał w 1934 roku. Złożyły się na niego wiersze, które znajdujemy w „Starych kamieniach". Czechowicz połączył je tylko piękną prozą poetycką, przygotowując całość jako słuchowisko radiowe, o czym świadczą liczne uwagi poety na marginesie tekstu, np.: „Muzyka jako tło (kołysanka), najlepiej skrzypce", „Wiatr, zegary z wież", „Cichy kobiecy śpiew, chwilami wypada głos dziecinnej trąbki" itd. Z tego samego roku co „Stare kamienie" i „Poemat o mieście Lublinie" pochodzą też zdjęcia Starego Miasta, których autorem jest także Józef Czechowicz. Dzisiaj, po trzydziestu latach, zdjęcia te mają nie tylko cenną wartość archiwalną (wiele obiektów już nie istnieje, wiele uległo zmianie), ale stanowią też ciekawy przyczynek do biografii autora „nuty człowieczej" i jego związków z ziemią rodzinną. Trudno też odmówić im artyzmu.

„Poemat o mieście Lublinie" powinien stać się piękną lekcją miłości i szacunku dla naszego miasta.

ROMAN ROSIAK

Poemat o mieście
Lublinie

1934

Na wieży kurpiał blaszany kogucik
na drugiej zegar mielił.
Mur fal. chmur pozyskał
w złote okienka:
gwiazdy, lampy.

Lublin nad Tatą przyniósł.
Sam był –
i cisza,

Dolata
pagórów kota,
dymiąca czarnoziemu potać.

Mgły nad sadami czarnemi.
Z nad Tatu mgły.
Zamknęły się oczy ziemi
powiekami z mgły.
— — — — — — — — — — — — — —

We mgle nie słychać kurków, które obliżają wędrowca ku miastu rodzinnemu. Ściężyny polne pszenicą nabrzmiewają w drogi, a te znów rozlewają się szeroko wśród falistych pól. Skosa na toczy. Żywniejący się wiatr szumi w liściach. Pstruc mechlicho, a jeszcze ktoś wodę ze studni ciągnie. Żuraw słychać. Jeszcze niejeden tu. Jeszcze niejeden. Kruczyce gonią wśród chmur. Mgła średnie.
Wędrowcze, oto już kwitł uliczki starego przedmieścia, Wieniawy. Dawniej, gdy winnice opinały te wzgórza, nazywano je: Winiawa.
Tak dziś niżdży cieniami nader i zapadłych w ziemię domostw myślin, wędrowcze, o tem tylko, że miasto kochane już cię ogarnia i tuli.
— — — — — — — — — — — — —.–

Ciemniej.
Pagóry, zalgaje, podłęża
nie sypią się mankami na oczy.
Ciemniej.
Z nieb czelnici otwartej naścieżaj
biegną ciche niedźwiedzie nocy.

Nad ulicami, rzędem,
czarne, kosmate,
będą się tarzać po domach do chwili,
gdy księżyc wychynie z za chmur, jak teater,
świat ku światłu przebyli.

Blaszany dachów dudnią bębenek.
wdół, wgórę, nierówno się kładzie
pertowy kamper:
w prostogadłej gromadzie
przedmieścia lampy.

Przeciw niedźwiedziom to małe!
Snują się, kucają domki, zajazdy, bóżnice
pod mrokiem ciekłego Tapę.
Ach! Iża suśtyby niskie pułapy!..
... ale już zajaśniało.

Pejzaż: Wieniawa z księżycem.

Wędrowcze, mam towarzysza. Księżyc w pełni, srebrny, daleki pójdzie odtąd za twojemi krokami. Powiedzie cię do miasta umarłych, gdzie twoi bliscy leżą pod głazami i darnią. Srebrny ci stare kamienice w rynku, widma ulic w kościele na Zamku, wreszcie znowu cię w pola wyniesie przez ulicę Drewka, przez Kalinowszczyznę i Czarnówek.
To jest księżyc, towarzysz. Niech sobie poeci mówią: tarcza, gołąb srebrny, kwiat nadziemski. Dla ciebie to jest prostu księżyc. Może nawet księżyc z Twardowskiego, może ze świętym Jerzym. Bo przecież świecił taki sam nad ulicą, gdy matka opowiadała ośmioletniemu: święty Jerzy tam ze smokiem walczy. Bo przecież to tu było, w tem mieście, do którego wracasz, jak syn marnotrawny.
Wiatr, znowu wiatr się podrywa. Obaj, on i księżyc, ku cmentarzowi idą. Do ojców. A wiatr głosy jakieś przynosi od wieży miasta.

Zegary, twarze nocy niewesołe
bardzo podają: pół-noc, pół-noc...
Dołem
place bronzowe, miane,
ulice – długie mroku czółna,
lamp tańcującami szytane.

U kowańca Lublina czarodziejstwo czasu
szumem poemat miastów skanduje.
Klony, brzeziny, kasztany, tuje
obriadły wyszły umarłyes.

Aleje głuche marzycą nocą, jak ruiny.
Blask blady gwiazdy samotnej ogniem się o cień,
o bluszcz, żałobny, bluszczyk,
paprocie.

Ramię z marmuru, anioły bronzowe swego
stawiły na piersiach tramwaj.

Pisze kogut.
Napisy z bramy cmentarza w granicy zakarbiej, zatuj:
„Oto teraz w grobie zasny – z grobem wstaną w dzień ostatni"...
— — — — — — — — — — — —
Wapnjony smutkiem, zamyślony i o świecie niewiedzący
idzie wędrowiec miastem. A ono głuche. W głównej ulicy
tu i ówdzie rozmowa spóźnionych przechodniów, tu i ówdzie
brama zamykana trwalnie.
Kroki jego spadają na kamienny bruk, mechaniczne, nie-
wzięte. A gnieciu idzie wśród dobrze mu znanych mu-
rów. W blasku latarni wzrok zadumanego mógłby odczy-
tywać napisy na sklepach. W tym, nawczym, kupiono
mu trzykę dziecinną, gdy był maleńki. Przy tamtym
żegnał się z matką i siostrą, wyruszając na front.
A oto, dom, w którym przyjęto chwile najszczęśliwsze.
Na drugiem piętrze okno jest otwarte. Ktoś na gramofo-
nie gra.

A teraz ciemność. To nie księżyc skrył się w obłokach. To ogarnęła cię, wędrowcu, mroki Bramy Krakowskiej. Zbudź się, obudź, patrz dokoła! Za chwilę wejdziesz na rynek.

— — — — — — — — — — — — — —

Kamienie, kamienice,
ściany ciemne, pochyłe.
Księżyc po stromym dachu toczy się, jest nisko.
Zaczekaj. Zaczekajmy chwilę —
jak perła
wpadnie w rynku mishę —
wtedy zabrzęknie.

W głowej nocy,
po kątach nie głębokich
po bram futrynach i sieni
załamany,
bez mocy,
cień fijołkowy wklęknie.

Gwiazdy złote, które lipcowy żar ścięł,
lecą — kurzawą — lecą.
Firmament w złote smugi marzeń,
za Trybunałem
na ślepych szybach świecą
cichym wystrzałem.

Noc letnia cicha cieplinie,
czy księżyc spłynie, zabrzęknie,
czy zejdzie wtedy swoją wdół.
On się srebrnie rozpływa
w rosie gwiaździstej, w zapachu ziół.

Jak pięknie!

Wi. do rana jeszcze daleko, choć w lipcu świty są tak wczesne. Mówię jeszcze długo tu stać i chłonąć nocne mroki.

Rynek. Tu dom Aceruą, tu kamienica Sobieskich. A ot i narożnik ze lwami. ~~Tu chodziłeś~~ do szkoły. Pamiętasz, bo jakżeby nie pamiętać! Toż to tu właśnie, a nie gdzieindziej przeżyłeś pierwszą chwilę poezji, wieczorem, słuchając starego wikarka.

Zamieć wspomnienie w wiersz. Same przejścia: wspomnienie i ~~poezja~~ są sobie bardzo bliskie.

Oto wiersz:

Niebo odmienia się, choć wieczór nie świcił,
wiatr jeszcze szepce, nim ninie.
Niebo fioletem szeleści.
Wiatr - już nie wiatr - niniech.

Z ulicy Dominikańskiej śpiew chóru
dziewiętnastu chwalą Marję.
Z Archidjakońskiej do wtóru
samotnych skrzypiec arje.

Domów murzyczne milczenie
złocone z tyczy Tukiem
na cztó kościoła promieniem
ograda, jak gukiet.

A teraz ktoś cinę napiął,
bije w nią pięścią ze śpiżu.
Dzwon niecierpny
wraz melaku kapiąc
zaczyna grać pod kościelnym krzyżem:

raz - i dwa - i trzy - - -

Wędrowcze, nie tylko kościoły i domy, miasto i kościoły, gwiazdy i dały ulic. Idziesz, idziesz, jeszcze jedną mijasz bramę, przeszedłeś się wzdłuż zaułkami podzamcza, stajesz przed niskim Tukiem. Łuk jest w kwiatach, a nad nim bujnieją wiktorskie rózgi i topory. Minąłeś kraty, dziedziniec zamkowy, przeszedłeś w stęp basty księcia Daniela.

Jesteś w zamkowej kaplicy. Klęknij. Skarbiec to i serce Lublina, miasta Jagiellońskiego.

W kościoła dnie nagłych
błysnął wody stojąca księżyca blask.

W ciemnem wnętrzu jest smuga białawego światła.
Wiemiadomo jak taka barwa się nazywa.
Chwiej, chodzi w ciemnościach
ruchomy światła kontur,
jakby noc palcem srebrnym wodziła niebieska
po gotyckich łukach smukłości,
po freskach.

Dziecko tak palcem wodzi po książce, gdy czyta...

Tu ściany malowane są tronem Dziewicy,
gdzieindziej zaś podwójny Chrystus ciemnoliczy
w dwa kielichy odmierza wino.

Święci z pustelni, Maryja surowa,
kwiaty kołyszące z wysoki, odzwi, nisz,
archaniele pancerzem jasny – o czem w promieniu świecą,
jakie apokalipsy śnią się smokom, ostoni?
Żadna trąba nie nota.

Księżyc palce swe cofa w mrokach kościoła.

Za trybą mnące Ojcom.

— — — — — — — — — — — —

Były czasy i dzisiaj. Minęły, zwróciła się codzienne, powszednie. Tylko ten księżyc...
Chyba czas już na ciebie. Trzeba zejść ulicą Zamkową w mrok zaułków, potem wynurzyć się z ciemności na ulicy Szerokiej. Która naprawdę jest szeroka. A stąd gnać najpierw przedmieście naszej Bane poniosą cię, nocny wędrowcze, w daleki świat. [redacted] mam dobre ci znane z czasów, gdyś biegał tu za drewnianem kółeczkiem, z czasów, gdy zachłyśniętemi oczyma patrzyłeś na tłumne procesje Bożego Ciała, gdy każda noc nigdy była bardziej srebrna niż w bajkach.
A teraz?

Na wieży furgotał blaszany kogucik
na drugiej — zegar nucił.
Mur fal i chmur popękał
w złote okienka:
gwiazdy, lampy.

Lublin nad łąką przysiadł.
Sam był —
i cisza.

Dokoła
pagórów koła,
dymiąca czarnoziemu połać.

Mgły nad sadami czarnemi.
Znad łąki mgły.
Zamknęły się oczy ziemi
powiekami z mgły.

We mgle nie słychać kroków, które zbliżają wędrowca ku miastu rodzinnemu. Ścieżyny polne pęcznieją, nabrzmiewają w drogi, a te znów rozlewają się szeroko wśród falistych pól. Szosa się toczy. Zrywający się wiatr szumi w kłosach. Północ niedaleko, a jeszcze ktoś wodę ze studni ciągnie. Żuraw słychać. Jeszcze wiejsko tu. Jeszcze wiejsko. Księżyc goni wśród chmur. Mgła rzednie. Wędrowcze, oto już kręte uliczki starego przedmieścia, Wieniawy. Dawniej, gdy winnice opinały te wzgórza, nazywano je: Winiawa. Idąc dziś między cieniami ruder i zapadłych w ziemię domostw myślisz, wędrowcze, o tym tylko, że miasto kochane już cię ogarnia i tuli.

Ciemniej.
Pagóry, zagaje, podłęża
nie sypią się wiankami na oczy.
Ciemniej.
Z nieb czeluści otwartej na ścieżaj
biegną ciche niedźwiedzie nocy.

Nad ulicami, rzędem,
czarne, kosmate,
będą się tarzać po domach do chwili,
gdy księżyc wybuchnie zza chmur, jak krater.
Świat ku światłu przechyli.

Blachy dachów dudnią bębnem.
W dół, w górę, nierówno się kładzie
perłowy lampas:
w prostopadłej gromadzie
przedmieścia lampy.

Przeciw niedźwiedziom to mało!
Gną się, kucają domki, zajazdy, bożnice
pod mroku cichego łapą.
Ach! Trzasnęłyby niskie pułapy!...
...ale już zajaśniało.
Pejzaż: Wieniawa z księżycem.

Wędrowcze, masz towarzysza. Księżyc w pełni, srebrny, daleki pójdzie odtąd za twoimi krokami. Powiedzie cię do miasta umarłych, gdzie twoi bliscy leżą pod głazami i darnią. Osrebrzy ci stare kamienice w rynku, widma ukaże w kościele na Zamku, wreszcie znowu cię w pola wywiedzie przez ulicę Szeroką, przez Kalinowszczyznę i Czwartek.

To jest księżyc, towarzysz. Niech sobie poeci mówią: tarcza, gołąb srebrny, korab nadziemski. Dla ciebie to jest po prostu księżyc. Może nawet księżyc z Twardowskim, może ze Świętym Jerzym. Bo przecież świecił taki sam nad ulicą, gdy matka opowiadała ośmioletniemu: Święty Jerzy tam ze smokiem walczy. Bo przecież to tu było w tym mieście, do którego wracasz, jak syn marnotrawny.

Wiatr, znowu wiatr się podrywa. Obaj, on i księżyc, ku cmentarzowi idą. Do ojców. A wiatr głosy jakieś przynosi od wieżyc miasta.

Zegary, twarze nocy niewesołe,
hasło podają: pół — noc, pół — noc...
Dołem
place konopne, lniane,
ulice — długie mroku czółna,
lamp łańcuchami spętane.

U krańca Lublina czworokąt czarny
Szumem poemat wiatrów skanduje.
Klony, brzeziny, kasztany, tuje
obsiadły wyspę umarłych.

Aleje głuche mamrocą nocą, jak rynny.
Blask blady gwiazdy samotnej opiera się o cień,
o bluszcz, żałobny barwinek,
naprocie.

Krzyże z marmuru, anioły brązowe srogo
stanęły na piersiach trumien.

Pieje kogut.

Napisy z bramy cmentarza w pamięci zakarbuj, zatnij:
„Oto teraz w prochu zasnę — z prochu wstanę w
dzień ostatni"...

Napojony smutkiem, zamyślony i o świecie niewiedzący idzie wędrowiec miastem. A ono głuche. W głównej ulicy tu i ówdzie rozmowa spóźnionych przechodniów, tu i ówdzie brama zamykana trzaśnie.

Kroki jego spadają na kamienny bruk, mechaniczne, nieważne. A przecież idzie wśród dobrze mu znanych murów. W blasku latarni wzrok zadumanego mógłby odczytywać napisy na sklepach. W tym, narożnym, kupiono mu trąbkę dziecinną, gdy był maleńki. Przy tamtym żegnał się z matką i siostrą, wyruszając na front. A oto i dom, w którym przeżył chwile najłagodniejsze. Na drugim piętrze okno jest otwarte. Ktoś na pianinie gra.

A teraz ciemność. To nie księżyc skrył się w obłokach. To ogarnął cię, wędrowcze, mrok Bramy Krakowskiej. Zbudź się, zbudź, patrz dokoła! Za chwilę wejdziesz na rynek.

Kamienie, kamienice,
ściany ciemne, pochyłe.
Księżyc po stromym dachu toczy się, jest nisko.
Zaczekaj. Zaczekajmy chwilę —
jak perła
wypadnie w rynku miskę —
miska zabrzęknie.

W płowej nocy,
po kątach nisz głębokich
po bram futrynach i okien
załamany,
bez mocy,
cień fiołkowy uklęknie.

Gwiazdy żółte, które lipcowy żar ściął,
lecą — kurzawą — lecą,
firmament w złote smugi marszczą,
za Trybunałem
na ślepych szybach świecą
cichym wystrzałem.

Noc letnia czeka cierpliwie,
czy księżyc spłynie, zabrzęknie,
czy zejdzie ulicą Grodzką w dół.
On się srebrliwie rozpływa
w rosie porannej, w zapachu ziół.
Jak pięknie!

No, do ranka jeszcze daleko, choć w lipcu świty są tak wczesne. Możesz jeszcze długo tu stać i chłonąć nocne uroki.

Rynek. Tu dom Acerna, tu kamienica Sobieskich. A ot i narożnik ze lwami z kamienia. Tu chodziłeś do szkoły. Pamiętasz, bo jakże by nie pamiętać! Toż to tu właśnie, a nie gdzie indziej przeżyłeś pierwszą chwilę poezji, wieczorem słuchając starego miasta.

Zamień wspomnienie w wiersz. Same pojęcia: wspomnienie i poezja są sobie bardzo bliskie.

Oto wiersz:
Niebo odmienia się, choć wieczór nie ścichł,
wiatr jeszcze szepce, nim uśnie.
Niebo fioletem szeleści.
Wiatr — już nie wiatr — uśmiech.

Z ulicy Dominikańskiej śpiew chóru,
dziewczęta chwalą Marię,
Z Archidiakońskiej do wtóru
samotnych skrzypiec arie.

Domów muzyczne milczenie
złączone z tęczy łukiem
na czoło kościoła promieniem
opada, jak pukiel.

A teraz ktoś ciszę napiął,
bije w nią pięścią ze spiżu.
Dzwon wieczorny
mocą metalu kapiąc
zaczyna grać pod kościelnym krzyżem:

raz — i dwa — i trzy — — —

Wędrowcze, nic tylko księżyc i domy, wiatr i kościoły, gwiazdy i doły ulic. Idziesz, idziesz, jeszcze jedną mijasz bramę, pniesz się w górę zaułkami podzamcza, stajesz przed niskim łukiem. Łuk jest w kratach, a nad nim błyszczą liktorskie rózgi i topory. Minąłeś kraty, dziedzińce zamkowe, przeszedłeś u stóp baszty księcia Daniela.

Jesteś w zamkowej kaplicy. Klęknij. Skarbiec to i serce Lublina, miasta Jagiellońskiego.

W kościoła oknie na płask
błysnął wodą stojącą księżyca blask.

W ciemnym wnętrzu jest smuga białawego szkliwa.
Nie wiadomo jak taka barwa się nazywa.
Chodzi, chodzi w ciemnościach
ruchomy światła korytarz,
jakby noc palcem srebrnym wodziła niebieska
po gotyckich łuków smukłości,
po freskach.

Dziecko tak palcem wodzi po książce, gdy czyta...

Tu skały malowane są tronem Dziewicy,
gdzie indziej zaś podwójny Chrystus ciemnolicy
w dwa kielichy odmierza wino.

Święci z pustelni, Mario surowa,
kwiaty kapiące z wnęk, odrzwi, nisz,
archaniele pancerzem jasny — o czym w promieniu
śnisz?
Jakie apokalipsy śnią się smokom, orłom?

Żadna trąba nie woła.

Księżyc palce swe cofa w mroku kościoła.

Za szybą migoce Orion.

Były czary i dziwy. Minęły, zrobiło się codziennie, powszednio. Tylko ten księżyc...

Chyba czas już na ciebie. Trzeba zejść ulicą Zamkową w mrok zaułków, potem wynurzyć się z ciemności na ulicy Szerokiej, która naprawdę jest szeroka. A stąd, przez uśpione przedmieście, nogi same poniosą cię, nocny wędrowcze, w daleki świat. Porzuć mury dobrze ci znane z czasów, gdyś biegał tu za drewnianym kółeczkiem, z czasów, gdy zachwyconymi oczyma patrzyłeś na tłumne procesje Bożego Ciała, gdy każda noc wigilijna była bardziej srebrna niż w bajkach.

A teraz?

Ludzi tamtych już nie ma, ni czasu tamtego. Ale, wędrowcze, cień towarzyszy ci, jak zawsze i noc jest ulana ze srebra poświaty. Opuśćże to miasto z pogodą w sercu, tak, jak je witałeś.

Chorągiewka na dachu śpiewa,
biadej gwiazdy wypełza pająk.
Latarnie w czarnych drzewach,
kołyszących się mrugają.

Ciepła woń płynie z piekarń,
a cisza z zamkniętych bram.
Gdyby pies na dalekim przedmieściu
nie szczekał,
byłbyś — jak nigdy — sam.

Sam, może jeszcze z rzeczułką,
której nie słychać,
choć w taką jasną noc z lazuru
i ona — niebios kochanka —
od zmierzchu aż do ranka
na pewno wzdycha
wśród murów...

Dobranoc miasto stare, dobranoc. Drogi białe wychodzą stąd na północ, zwężają się w ścieżyny, ścieżyny rozlewają się w drobne strużki steczek. Wędrowiec jest już tylko ciemnym punkcikiem na jednej z nich. Zniknął za wzgórzem.
Dobranoc, miasto,
dobranoc...

Poemat o mieście Lublinie

Ilustracja muzyczna

Słowa: Józef CZECHOWICZ (1903-1939)

Muzyka: Aleksander BRYK

1. Kołysanka

2. Wiatr [a)]

[a)] *wiatr wykonać na wiatrownicy.*

3. Zegar wydzwania północ

4. Kobiecy śpiew i głos dziecinnej trąbki

mi, u — śnij, si-we o — czka stu — śnij;

poco rit. e mor.

u — śnij - że mi, u — śnij, a-lbo mi u — ro-śnij.

pp con sordino

5. Daleki chór jako tło

3/4 *Largo*

Soprano
Alto

u - śnij że mi, u-śnij, si-we o — czka stu-śnij;

Tenore
Basso

pp

u - śnij - że mi, u — śnij, a-lbo mi u — ro - śnij, a

a — a — a — a —

u — śnij — że mi u — śnij

u - śnij - że mi, u - śnij,

a — lbo u — ro — śnij.

a u — śnij — że, a — lbo

ppp

śpij już śpij.

u — ro — śnij.

ppp

6. Muzyka
(jako tło organy)

7. Dalekie dzwony

8. Kołysanka

③ a tempo

p

p

a tempo
(Bocca chiusa)

p

④

p

pp A — a — a — a —

a — a — a — a — a —

⑤

pp

(Bocca chiusa)

poco rit. e mor.

poco rit. e mor.

Aleksander Bryk Lublin, 30·XI·1962.

Wydawnictwo Lubelskie
Lublin 1964 rok.
Wydanie I. Nakład 5000 + 250 egz.
Arkuszy wyd. 4.
Arkuszy druk. 3 + 1,25 ark. wkładek.
Papier druk. sat. kl. V, 100 g, 82 × 104 cm
z Fabryki Papieru w Częstochowie.
Oddano do składania 12 II 1964 roku.
Druk ukończono we wrześniu 1964 roku.
Lubelskie Zakłady Graficzne
Lublin, ul. Unicka 4.
Zam. nr 514. R-4. Cena zł 15.—

CENA ZŁ 15.—